

# Koniec liberalnego prozelityzmu

2 kwietnia 2025

Od czasów Ronalda Reagana w zbiorowej pamięci utkwiło pojęcie „imperium zła”, przypisane w 1983 roku Związkowi Radzieckiemu. Mało kto dziś pamięta, że w tym samym wystąpieniu, w którym Reagan uzasadniał program zbrojeniowy koniecznością obrony „dobra przed złem”, deklarował rozmowy z Moskwą na temat „sprawiedliwego” pokoju.

Ten historyczny przykład pokazuje, że w amerykańskim etosie dyplomatycznym z jednej strony zawsze podkreślano pryncypia moralne i aksjologiczne, a z drugiej strony kierowano się cyniczną kalkulacją interesów, co prowadziło do relatywizacji tychże pryncypiów, a nawet ich zaprzeczenia. Z tych powodów oponent czy nawet wróg, który w danych okolicznościach był utożsamiany ze złem, w innych okolicznościach mógł być uznany za godnego uwagi rozmówcę.

## Historia XX wieku...

XX wiek dostarcza wielu przykładów takich dyktatorów, z którymi Stanom Zjednoczonym było nie po drodze, ale w sytuacjach szczególnych, na przykład w obliczu egzystencjalnego zagrożenia ze strony wrogiej koalicji, jak w przypadku Państw Osi, wódz komunistycznego imperium stał się pożądanym dla Roosevelta partnerem i sojusznikiem. Podobnego przewartościowania dokonał Donald Trump w czasie pierwszej kadencji prezydenckiej, kiedy uznał, że warto było spotkać się z dyktatorem Korei Północnej Kim Dzong Unem (12 czerwca 2018 roku), aby zapobiec eskalacji konfliktu koreańskiego. Wielu obserwatorów przecierało oczy ze zdumienia, gdyż te rozmowy przeczyły „idealizowanej” kulturze dyplomatycznej Ameryki.

Przez lata „zimnej wojny” utrwalił się osobliwy kanon, że ze

„złym” się nie negocjuje, gdyż jego postępowanie nie poddaje się żadnej racjonalizacji. Jeśli nie można mu zaufać co do istniejącej sytuacji, to tym bardziej nie można budować racjonalnych wizji, dotyczących przyszłości. Takie absolutyzujące przekonanie leżało u podstaw rozprawienia się z terroryzmem międzynarodowym za czasów George’a W. Busha, choć jak wiadomo, ani Afganistan, ani Irak nie były bezpośrednio odpowiedzialne za akty terrorystyczne z 11 września 2001 roku, a stały się tragicznymi ofiarami amerykańskich ataków zbrojnych.

Obecna administracja USA powraca do długich tradycji poszukiwania wspólnych interesów, nawet z najbardziej zawziętymi przeciwnikami ideologicznymi. Tak było przecież w normalizacyjnym zwrocie wobec komunistycznych Chin, a także w dobie odprężenia lat siedemdziesiątych ub. wieku, kiedy dialog z ZSRR skutkował aktami rozbrojenia i umocowania systemu bezpieczeństwa europejskiego. Do tego dochodziło utrzymywanie korzystnych dla USA relacji z różnymi reżimami dyktatorskimi, mimo ewidentnych naruszeń przez nie praw człowieka. W relacjach z Iranem szacha Pahlawiego, Arabią Saudyjską, Republiką Południowej Afryki, Koreą Południową czy reżimami południowoamerykańskimi górę brała Realpolitik, w której liczyły się siła i interesy, a wartości schodziły na dalszy plan.

Tym razem, po rozpoczęciu nowej kadencji prezydenckiej Donalda Trumpa można odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z „przełomem strategicznym” w polityce USA. Choć analogie nie zawsze są trafne i kształtujące, można pokusić się o stwierdzenie, że to nie impulsywność i nieprzewidywalność amerykańskiego przywódcy – jak sugerują nieżyczliwi mu eksperci – lecz wykuwana metodą prób i błędów koncepcja „nowego myślenia” kieruje go w stronę intuicyjnie pożądanego przebudowy porządku międzynarodowego.

# Dezideologizacja polityki

Analogia przypomina Michaiła Gorbaczowa, który odwrócił – tak jak robi to teraz Trump – relacje między ideologią a interesami narodowymi. Zamiast krucjat w imię wartości liberalnych (wtedy komunistycznych) o charakterze uniwersalistycznym nawołuje do obrony tego, co narodowe i partykularne, a nawet egoistyczne. Towarzyszą tej interpretacji tony izolacjonistyczne, protekcjonistyczne i merkantylistyczne. Mają one degradujący wpływ na pojmowanie spoistości Zachodu, jako stabilnego i zwartego bloku geopolitycznego i cywilizacyjnego.

Dezideologizacja polityki zagranicznej ZSRR oznaczała deutopizację myślenia o stosunkach międzynarodowych w kategoriach zwycięstwa jednego ustroju w skali globalnej. Podobnie jest teraz, kiedy odideologizowanie myślenia politycznego nie tylko definitywnie kończy z liberalną utopią „końca historii”, ale otwiera politykę USA na różnorodność uczestników systemu międzynarodowego, bez podziału na złych i dobrych. Ekipa Trumpa poszukuje nowych, pozaideologicznych uzasadnień dla swoich działań na arenie międzynarodowej. Na pierwszym miejscu stawia interesy ekonomiczne.

Konsekwencją odrzucenia ideologicznych podziałów na demokracje i autokracje, na świat „wolnych” i „zniewolonych” jest konieczność zredefiniowania środowiska międzynarodowego, co oznacza odbieraną w kategoriach sensacji rewizję rozmaitych stereotypów i wizerunków wroga. Największy szok towarzyszy zmianie spojrzenia Trumpa na Rosję i Putina. Uznał on, że każde negocjacje z Kremlem, nawet te niezapowiadające szybkiego sukcesu, są lepsze niż każdy kolejny dzień krwawej wojny na Ukrainie. W odróżnieniu od swego poprzednika traktuje Putina jako racjonalnego gracza w stosunkach międzynarodowych, który został sprowokowany przez same Stany Zjednoczone do sięgnięcia po broń przeciw uzbrajanej przez Zachód Ukrainie. Mimo lamentów natowskich sojuszników Trump jest gotów

legitymizować racje Rosji, a nawet dążyć do zawarcia „niesymetrycznego kompromisu”, byle tylko doprowadzić do zawieszenia broni i zamrożenia konfliktu.

Paradoksalnie, takiemu stanowisku administracji Trumpa wobec Rosji sprzyja wykształcona w ostatnich kilkunastu latach silna antyrosyjskość Partii Demokratycznej. Podsycanie nienawiści do kremlowskiego władcy doprowadziło z czasem do postrzegania złożonych powiązań interesów amerykańsko-rosyjskich w kategoriach „walki ze złem”. Ameryka zapatrzona w swoją globalną hegemonię zapomniała o rozwiązywaniu wspólnych problemów, związanych z kryzysami planetarnymi. Trump być może tkwi w swojej naiwności i niekompetencji. Ma jednak determinację na rzecz przywrócenia pewnej normalności w stosunkach z innymi potęgami i chce przekonać dużą część społeczeństwa amerykańskiego, że rozmowy ze „złą” Rosją nie oznaczają przecież „paktowania z diabłem”.

Media sprzyjające administracji Trumpa przywracają w przekazach tę podstawową prawdę, że mimo prymatu Ameryki nie da się usunąć z systemu międzynarodowego innych potęg, zwłaszcza Chin i Rosji, ale także różnych ośrodków siły poza nimi, jak Unii Europejskiej czy Indii. Jedynie przywrócenie pewnej równowagi między nimi zastąpi anomalię, polegającą na tym, że jedno mocarstwo usiłowało w ostatnich dekadach kontrolować cały świat. Skonfliktowanie na tle sprzeczności interesów prędzej czy później doprowadziłoby te potęgi do zwarcia o charakterze samobójczym.

Wycofanie się Stanów Zjednoczonych z wielu zobowiązań zewnętrznych ma przede wszystkim związek ze zmianą priorytetów wewnętrznych. W przypadku wielkich imperiów, na co wskazywali w swoich analizach tacy historycy, jak Jean-Baptiste Duroselle czy Paul Kennedy, dochodzi najczęściej do nadwyrężenia sił w związku z przerostem zaangażowania na rzecz innych. Trump uosabia tę część Ameryki, która uświadamia sobie, że brak inwestycji w infrastrukturę kraju, jej modernizację oraz złe zarządzanie zasobami wymuszają zmiany priorytetów. Nadchodzi

czas, aby zmniejszyć ciężar konfrontacji wojskowo-politycznej w stosunkach międzynarodowych, a zasoby pochłaniane na zbrojenia przesunąć na rozwiązywanie nagromadzonych problemów społeczno-gospodarczych.

Tym też można tłumaczyć powrót do instrumentów dyplomatycznych i prawnych w relacjach z zewnętrznymi oponentami, bowiem bezpieczeństwo można zapewniać nie tylko przy pomocy oręża i kosztownych zbrojeń, ale także drogą wynegocjowanych porozumień. W tym aspekcie „nowe myślenie” spod znaku Trumpa wyraźnie przypomina odwagę Gorbaczowa, który potrafił radykalnie zerwać z filozofią prowojenną i rywalizacyjną, uznając wojny we współczesnym świecie za niepotrzebne i nieopłacalne. O ile jednak ZSRR w końcowej fazie istnienia stawiał wyraźnie na strategię kooperacji i jednostronnych ustępstw wobec Zachodu, o tyle dyplomacja trumpowska ma charakter agresywny, oparty na presji i szantażu. Siłą rzeczy ma charakter konfrontacyjny.

Gorbaczow stracił panowanie nad sytuacją, w rezultacie czego doszło do implozji imperium, choć ten fatalny wynik – patrząc z dzisiejszej perspektywy – wcale nie był przesądzony. Na rozpad ZSRR wpłynęło wiele czynników wewnętrznych i zewnętrznych.

## **Przypadek Trumpa**

Sytuacja Trumpa jest ewidentnie inna. Ma on wyraźnie na uwadze rekonstrukcję i restrukturyzację porządku międzynarodowego z udziałem Stanów Zjednoczonych jako supermocarstwa, zdolnego do powstrzymania wojskowej potęgi Chin i Rosji, z jednoczesnym podziałem wpływów i odpowiedzialności między nowe mocarstwa i konglomeraty technologiczne. Administracja Trumpa zmierza do zdefiniowania siebie w nowej wielobiegunowości, ale napotyka na tej drodze silny opór wewnętrzny i zewnętrzny. Czas pokaże, czy polityka radykalnych zmian okaże się konstruktywna, czy też zakończy się jakąś nieprzewidywalną w tej chwili

katastrofą.

Jeśli analogie do Gorbaczowa są niezbyt trafne, to może warto przywołać przykład Deng Xiaopinga, który tak pokierował komunistycznymi Chinami w latach osiemdziesiątych ub. wieku, aby nie tylko zmienić kurs i uratować system polityczny, ale także stworzyć podstawy dynamicznego wzrostu państwa do rangi potęgi globalnej. Zarówno skuteczne reformy Denga, jak i klęska Gorbaczowa były spowodowane przede wszystkim kryzysami wewnętrznymi Chin i ZSRR. Obecne dążenia Donalda Trumpa do przywrócenia wielkości Ameryce są także reakcją na wewnętrzne problemy tego giganta. Być może jest to dowód pewnej społecznej desperacji i wiary, że jedynie ludzie o wybujałym ego i narcystycznej pewności siebie mogą odwrócić negatywny bieg zdarzeń i zaproponować jakąś optymistyczną perspektywę.

Już pierwsza kadencja Trumpa obnażyła sprzeczności i narastające antagonizmy społeczne zarówno na tle podziału bogactwa społecznego, jak i skonfliktowania elity politycznej. Bez względu na skutki „transformacji ustrojowej” Stanom Zjednoczonym nie grozi ani klęska na wzór reform Gorbaczowa, ani zbudowanie alternatywy ustrojowej, która odwróciłaby wszystkie negatywne trendy. Optymiści potrafią dostrzegać w radykalnych posunięciach zapowiedź sanacji Ameryki, podczas gdy pesymiści przestrzegają przed ekscentrycznymi pomysłami, których wdrożenie wywoła jeszcze większy chaos i da pożywkę dramatycznym sprzeciwom społecznym, przypominającym „rewolucję” lat sześćdziesiątych XX wieku.

Zaletą rozpoczętej debaty wokół aktywnego uczestnictwa Stanów Zjednoczonych w systemie wielobiegunowym jest pobudzenie różnych kręgów establishmentu politycznego do krytycznych przewartościowań dotychczasowej strategii oraz określenie pewnej równowagi między onnipotencją a selektywnością, między siłą a prawem, między priorytetami egzystencjalnymi a tymi, które wynikają z imperatywu koegzystencji w spolaryzowanym systemie międzynarodowym.

Godząc się z nową wielobiegunowością systemu międzynarodowego administracja Trumpa stanie przed koniecznością uznania strategicznej autonomii swoich kluczowych partnerów i rywali. Będzie to oznaczać, że nawet takie ośrodki potęgi, które podzielają wspólne wartości Zachodu (Unia Europejska czy Indie), będą niekiedy realizować interesy sprzeczne z interesami USA. Ponadto, mechanizm równoważenia sił będzie działać we wszystkie strony. Nie tylko Ameryka dzięki swojej potędze będzie w stanie przeciwważyć inne mocarstwa lub ich koalicje, ale także one indywidualnie lub zbiorowo mogą chcieć powstrzymać i hamować amerykańską potęgę.

Ten ostatni aspekt pojmowania dotychczasowej sprawczej roli lidera w stosunkach międzynarodowych wymaga szczególnej rozwagi i powściągliwości. Amerykańskie elity polityczne, w tym ich siły specjalne, przyzwyczały się bowiem do nieograniczonego penetrowania sceny międzynarodowej, bez żadnego oporu i sprzeciwu. Tymczasem pogodzenie się z rolą primus inter pares będzie oznaczać liczenie się z interesami innych potęg, bez możliwości kwestionowania ich prawowitości.

Transakcyjne przywództwo Trumpa otwiera nowe możliwości tworzenia w kręgu mocarstw koalicji „zadaniowych”, zorientowanych na kolektywne rozwiązywanie problemów globalnych, począwszy od ograniczenia wyścigu zbrojeń, zwłaszcza proliferacji broni jądrowej, poprzez zmiany klimatu i zapobieganie klęskom żywiołowym, pandemii, przestępczość transnarodową, po terroryzm i narkobiznes. W takiej aktywności jest także miejsce na przywództwo moralne, pozwalające zachować poczucie wyjątkowości z potrzebą respektu dla pluralizmu i różnorodności w systemie wielobiegunowym.

## **Psychoza wojenna w Europie**

Realiści polityczni od dawna twierdzą, że konflikty na tle wartości ograniczają elastyczność mechanizmów równoważenia sił w stosunkach międzynarodowych. Dlatego skupienie się na

żywotnych interesach każdego z mocarstw daje szansę na wypracowanie pragmatycznych koncepcji współpracy, współdziałania i współistnienia, w zależności od konkretnych uwarunkowań i preferencji. Propagowanie wartości poprzez dawanie przykładu, a nie poprzez misyjność i prozelityzm, stanowi alternatywę dla dotychczasowych krucjat ideologicznych, interwencji humanitarnych i eksportu „kolorowych rewolucji”.

Największą przeszkodą w wychodzeniu z „zaklętego kręgu” aroganckiego liberalizmu stała się histeria wojenna wśród państw sojuszniczych z NATO i Unii Europejskiej. Ponieważ wartość atlantyckich zobowiązań wyraźnie traci na znaczeniu, militarystyczna ofensywa unijnej większości budzi tym większe negatywne emocje, im mniejsze są szanse zbudowania autonomicznej potęgi „Eurozony”. Coraz więcej jest takich obserwatorów, którzy w nowej doktrynie europejskiego odstraszenia atomowej Rosji bez udziału USA widzą absurdalność tego przedsięwzięcia.

Podsycanie strachu przed Rosją i Putinem jest jednak unijno-brytyjskim Europejczykom bardzo potrzebne, gdyż służy odwracaniu uwagi społeczeństw od rzeczywistych problemów. Widmo wojenne przesłania kryzysy na tle migracji, tożsamości, terroryzmu, pauperyzacji, bezpieczeństwa socjalnego i in. Mobilizacja z kolei nakazuje solidarność zbiorową, nawet gdy rządy prowadzą swoich obywateli na manowce.

Siły prointegracyjne, związane z agendą globalistyczną, chcą wykorzystać wojnę rosyjsko-ukraińską do stworzenia takich mechanizmów wspólnej obrony, aby „europejskie superpaństwo” mogło wreszcie legitymizować swoją pozycję potężnym potencjałem wojskowym w grze międzymocarstwowej. Ciągłe straszenie wojną, mimo że aktywność Stanów Zjednoczonych wyraźnie skraca jej perspektywę, stanowi siłę napędową unijno-brytyjskiej geopolityki. Obnaża także hipokryzję francusko-niemiecką, która potrafiła nieraz wprzęgać państwa na wschodzie Europy w rydwan swoich egoistycznych interesów

przeciw Rosji. W przypadku Polski bezkrytyczna akceptacja pomysłów liderów unijnych z jednoczesnym odcinaniem się od administracji Trumpa, to dowód błędzenia we mgle, przejaw niefrasobliwej fanfaronady, za którą przyjdzie zapłacić wysoką cenę.

Niezależnie od dzisiejszej skomplikowanej sytuacji, istnieje szansa na odbudowę autonomii kontynentu europejskiego. Jeśli możliwe było odwrócenie antyrosyjskich wektorów w Stanach Zjednoczonych, to niby dlaczego takie zjawisko byłoby niemożliwe w stosunkach europejskich? Od czasów Charlesa de Gaulle'a istnieje przecież świadomość wspólnoty, opartej na jedności geopolitycznej i cywilizacyjnej Europy „od Atlantyku po Ural”, która pozwoli wyrwać się spod kurateli amerykańskiej. Szanse na taki obrót sytuacji są całkiem spore, gdyż sam Trump uświadamia wszystkim, że Zachód daleki jest od jednorodności i traci swoją „blokową” tożsamość, ukształtowaną pod przywództwem USA i kontrolą NATO po II wojnie światowej. Gdy skończą się możliwości czerpania zysków z eksploatacji „światowej większości”, Zachód ulegnie dekompozycji i zacznie szukać dla siebie nowych rozwiązań, na które dzisiejsza „oś”, obejmująca Wielką Brytanię, Skandynawię, Polskę i Ukrainę nie jest gotowa.

Potrzeba trochę czasu, aby elity europejskie, skażone triumfalizmem Zachodu ostatnich dekad, opamiętały się i złagodziły swój misjonarski zapał w narzucaniu innym państwom swoich poglądów i wartości. Bez Stanów Zjednoczonych liberalny prozelityzm straci swój impet, a stopniowa wymiana elit politycznych w państwach unijnych będzie przywracać na salonach Paryża, Berlina, Rzymu i Brukseli coraz więcej realizmu i rozsądku.

Autorstwo: prof. Stanisław Bieleń

Źródło: [MyslPolska.info](http://MyslPolska.info)